

665  
STEFAN  
OTWINOWSKI

# Notes KRAKOWSKI

**W**racam właśnie z zebra-  
nia, na którym chwalo-  
no wzory warszawskie.  
W jakim przedmiocie?  
Otóż stolica nowa w  
przeciwieństwie do sto-  
licy starej potrafiła zorganizować  
i rozwinąć życie towarzystw dziel-  
nicowych dla pożytku kultury ca-  
łego miasta Owszem, w Krakowie  
istniał folklor zwierzyńcecki, Kra-  
ków dał polskiemu scenom krowoder-  
skich zuchów, Bronowice dzięki  
„Weselu” przeszły do narodowej  
legendy, Adam Polewka bardzo in-  
teresująco opowiadał o ulicach  
swojego dzieciństwa — ale Kraków  
nie miał ani jednego stowarzysze-  
nia dzielnicowego, które uczyłoby  
systematycznie szacunku dla miej-  
scowej tradycji. I właśnie teraz to-  
warzystwo takie wreszcie powstaje.  
W Podgórzu senior dr Roman Kiel-  
kowski odbył pierwszą konferencję  
z młodzieżą i inicjatywa w środo-  
wiskach najmłodszych chwyciła z  
punktu. Podkreślmy tu także, że  
przykład dla innych dzielnic po-  
plynie z dzielnicy, która należy do  
Krakowa dopiero od roku 1914,  
przedtem będąc miastem osobnym  
pod patronatem perfidnie działają-  
cej administracji austriackiej.

Kiedy przed trzydziestu bez mała  
laty przybyłem na tymczasowy po-  
byt do Krakowa, przyjaciele moi,  
patrioci Krakowa, okazując mi cu-  
da i uroki miasta, wcale mnie za  
Wisłę nie poprowadzili. A co za  
rzeką? — pytałem. Za rzeką — od-  
powiadano mi — to już Galicja,  
nic ciekawego. Nawet Andrzej Stop-  
ka, którego teść, Wincenty Wodzi-  
nowski, przez kilka lat mieszkał,  
malował i w „Sokole” działał na  
ulicy Stromej, nigdy mnie na tę  
Stromą nie powiódł, a przecież kto

jak kto, ale właśnie Stopka żadne-  
go wstępu do Galicji nie miał. Dla  
sprawiedliwości dodam, że Tadeusz  
Peiper, spotkawszy mnie kiedyś w  
Warszawie, spytał: A prawda, pan  
przecież już na stałe tam, i cóż sły-  
chać w moim Podgórzu? Peiper bo-  
wiem, urodzony w 1891, nie kra-  
kowiecianinem z pochodzenia był, lecz  
podgórzaninem... Nie poprowadzili.  
Czyżby, syci świetnością średnio-  
wiecznych i barokowych pomników  
architektury w śródmieściu, wstydzi-  
li się architektury biednej, brzyd-  
kiej? Jeśli tak, to niesłusznie. Ma  
bowiem i Podgórze kilka ulic, pla-  
ców i zaułków pełnych swobodnego  
wdzięku. Ulicę zaś Józefińską na-  
zwałbym jedną z najpiękniejszych  
w kraju, jeśli chodzi o porządek  
stylu klasycystycznego. Warto tury-  
stów kierować za Wisłę, żeby obej-  
rzeli ten właśnie cykl kamieniczek.  
Zdarzają się i ładne egzemplarze  
kamienic secesyjnych, przypomnia-  
jące budownictwo raczej Sączów  
czy Tarnowa, inna to secesja, nie  
ta typowo krakowska. Podobna mi  
się również ulica Nadwiślańska,  
choć jest to ulica bardzo smutna.  
No cóż, melancholijne są właściwie  
wszystkie ulice komunikujące się  
bezpośrednio z żywiołem wód. Smu-  
tna jest także Wenecja. Zresztą po  
co mi macie wierzyc na słowo, pro-  
szę, pójście do kina „Sztuka” i  
obejrzyjcie film Viscontiego „Śmierć  
w Wenecji”. Skoro już padło to na-  
zwisko i ten tytuł, zostawmy w  
spokoju ulice nad Wisłą i zastanów-  
my się nad dziełem artystycznym;  
powiem od razu, że nic lepszego  
dla „skontrapunktowania” światła,  
kształtu i muzyki dotychczas nie  
zrobiono. Jest to film, który na  
pewne typy wrażliwości działa fa-  
scydująco. Należą do osobników

obdarzonych tego rodzaju wrażliwo-  
ścią. Przyznaję, że jeżeli ktoś fascy-  
nacji takiej nie ulegnie, może się  
w czasie długiego seansu nudzić.  
Kilka osób opuściło salę. Wśród wi-  
dzących sporo znajomych, bynajmniej  
nie sama młodzież, ci wytrwali ma-  
ją się rozumieć do końca. W rzędzie  
przede mną siedział Jerzy Parzyński  
z żoną, oboje bardzo muzykalni.  
Właśnie. Można i tak — można po-  
traktować cały ten utwór Viscon-  
tiego jako „równoległe”, formę i  
wyraz, do niezmiernie pięknej mu-  
zyki Mahlera. Mann napisał nowe-  
łę o pięknie, o grzechu i o śmierci  
— film z pomocą muzyki i świa-  
tła modulował i wreszcie scalił  
wszystkie te trzy tematy.

W przeciwieństwie do Romana  
Szydłowskiego nie jestem entuzja-  
stą Bertolta Brechta. Entuzjastką  
jestem, ale przyznać muszę, że pi-  
sarz ten stworzył własny rodzaj  
teatru i wierny swej doktrynie po-  
zostawił nam kilka dzieł wybitnych.  
„Turandot”, czyli kongres wybiela-  
czy” do dzieł tych nie należy. Tekst  
„Turandot”, sztuki, którą wystawił  
właśnie nasz Teatr im. Słowackiego,  
zwłaszcza w akcie drugim ma cha-  
rakter szkicu i oddaje prawo dzia-  
łania samej już tylko scenie. Jerzy  
Krasowski, jako reżyser, zaufania  
autorskiego nie zawiódł i nawet ta  
słabsza część utworu ma dobry, do  
końca interesujący rytm sceniczny.  
Bywa tak: utwór literacki nietęgi,  
natomiast przedstawienie zupełnie  
dobre. Są w tej sztuce już przez  
Brechta postawione role, jest też  
jedna literacko wyborna sekwencja,  
sam ów kongres: mamy tu trzy wio-  
dzące role i trzy popisy świetnego,  
komediowego aktorstwa: Karola  
Podgórskiego, Pawła Galli i Jerzego  
Kopczewskiego. Gdyby nie to, że  
szpalta mi się kończy, zacytowałbym  
jeszcze kilka nazwisk, nie omijając  
naturalnie aktora mojego ulubio-  
nego, Juliana Jabczyńskiego. Nie-  
stęty, mało mam miejsca. Tyle że-  
by jeszcze wymienić nazwisko Jo-  
anny Bogackiej. Trudno nie zwró-  
cić uwagi na kobietę aż tak świet-  
nie zbudowaną.

STEFAN OTWINOWSKI